

Japonia i broń jądrowa

S&F Strategy&Future

14.10.2025



Tutaj powinien być materiał audio

Albert Świdziński

Japonia i broń jądrowa

Pchnięcie Indii na ścieżkę prowadzącą do bomby nie było łatwe; potrzebna do tego była nie tylko odmowa zapewnienia gwarancji bezpieczeństwa przez ZSRR i USA, nie tylko nuklearyzacja Chin i nie tylko ambicje indyjskich naukowców. Dopiero świadomość nieuchronnej nuklearyzacji Pakistanu sprawiła, że Delhi uznało, że proliferacja obsługiwać będzie jego interesy lepiej niż pozostawianie „czempionem” rozbrojenia.

Jak zachowywały się państwa, które również odczuwały egzystencjalny lęk przed agresorem, ale (w przeciwieństwie na przykład do Indii) były objęte gwarancjami bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych? Niezwykle pouczającymi przykładami takich państw są Japonia, Niemcy Zachodnie oraz Korea Południowa. Jakie było ich podejście do broni jądrowej oraz ich pry urealnienia amerykańskich gwarancji?

W sferze symbolicznej trudno o przykład bardziej uderzający niż Japonia; jest to jedyne państwo, wobec którego broń jądrowa została kiedykolwiek użyta. Dyskusja o zasadności (moralnej, strategicznej, politycznej) bombardowań Hiroszimy i Nagasaki byłaby tematem na osobną dyskusję, gdyby nie fakt, że dyskusje takie odbyły się już na każdy możliwy sposób, w każdym możliwym kontekście – i owocowały każdą możliwą konkluzją. Dość powiedzieć, że trauma spowodowana bombardowaniami Hiroszimy i Nagasaki (choć zginęło w nich summa summarum mniej ludzi niż chociażby w konwencjonalnych kampaniach bombardowań strategicznych innych japońskich miast, o niemieckich nie wspominając) odcisnęła głębokie piętno na japońskim społeczeństwie – na tyle głębokie, że broń jądrowa w powszechnym mniemaniu stała się tematem najgłębszego tabu, łącznie z wpisaniem zakazu posiadania „uzbrojenia ofensywnego” (łącznie z bronią jądrową) do powojennej konstytucji Japonii. Najbardziej szczerze przekonania i impulsy moralne błędną jednak w obliczu twardej rzeczywistości. Choć zatem japońscy politycy publicznie deklarowali sprzeciw wobec jakichkolwiek planów zdobycia broni jądrowej (na przykład publicznie ogłoszone przez premiera Satō w 1967 „trzy nienuklearne zasady”, do których należało nieposiadanie i nieprodukowanie przez Japonię broni jądrowej, wykluczające nie tylko niezależny japoński arsenał, ale też wszelkie formy nuclear sharing) oraz nie wyrażali

zgody Tokio na obecność sojuszniczej broni nuklearnej na japońskiej ziemi, z wodami terytorialnymi łącznie, ten sam Satō w rozmowie z ambasadorem USA opisywał „trzy zasady” jako nonsens.

Jeżeli więc chodzi o broń jądrową, rewolucyjna praktyka rozjeżdżała się w wypadku Japonii z rewolucyjną teorią – od zawsze. Przede wszystkim amerykańska broń jądrowa odgrywała istotną rolę w amerykańskiej strategii odstraszenia nie tylko w Europie, ale również w Azji; jej unikatowe właściwości pomóc miały niwelować przewagę bloku komunistycznego, ratując tym samym USA przed koniecznością podjęcia niezwykle kosztownej próby dotrzymania kroku ZSRR w wymiarze zbrojeń konwencjonalnych. Założenia pierwszej strategii offsetowej nakazywały asymetryczne zniwelowanie przewagi konwencjonalnej dzięki broni jądrowej; to wymagało jednak obecności zasobów nuklearnych nie tylko w samych USA, ale również na terytorium partnerów i sojuszników Waszyngtonu. W takiej formule amerykańska broń nuklearna trafiła w 1954 roku na terytorium okupowanej wówczas przez Stany Okinawy; przez następne 18 lat na wyspie tej składowanych było w szczytowym momencie (rok 1967) około 1300 głowic nuklearnych i różnych środków ich przenoszenia. Masakatsu Ota stwierdza, że od tego momentu „nad Japonią rozpostarty został parasol nuklearny, którego dostarczycielem był jej potężniejszy sojusznik, Stany Zjednoczone”; rozszerzone odstraszenie USA zostało następnie formalnie skodyfikowane w japońsko-amerykańskim traktacie o wzajemnej pomocy i bezpieczeństwie z 1960 roku.

Siły Zbrojne USA planowały też przez pewien czas jednostronne utworzenie miejsc składowania broni jądrowej na terenie japońskich wysp, plan ten został jednak odrzucony przez ówczesnego amerykańskiego ambasadora Johna M. Allisona, który obawiał się konsekwencji politycznych tego działania. Ten ostatni fakt pozwala wnioskować, wiele z tych działań nie byłoby możliwych, gdyby nie ich nieformalna akceptacja przez Tokio.

Jednocześnie Tokio już od późnych lat 50. miało rozpocząć realizację strategii „hedgingu ubezpieczeniowego” w celu „zarówno wymuszenia na USA mocniejszych zobowiązań sojuszniczych”, jak i skrócenia „okienka wrażliwości” – a więc okresu pomiędzy podjęciem decyzji o nuklearyzacji a osiągnięciem tego celu – gdyby gwarant bezpieczeństwa Japonii nie był skłonny do wzmocnienia swojej wiarygodności względem niej. W wymiarze technologicznym oznaczało to stopniowe konstruowanie przez Tokio zdolności w zakresie broni jądrowej; w wymiarze politycznym Japonia niezmiennie (choć głównie w nieformalnych komunikatach) sygnalizowała, że jej decyzja o nieprolifracji nie jest dana raz na zawsze. Przykładowo, w 1958 roku japoński MSZ miał rozważać opcję pozyskania broni jądrowej, „w celach defensywnych i obrony przez ZSRR”; zresztą japońscy urzędnicy mieli też przekazać swoje rozterki Waszyngtonowi. Ówczesny ambasador USA w Japonii Douglas MacArthur (tak, tak, ten sam, który 2 września 1945 roku na pancerniku Missouri z rąk cesarza Hirohito przyjął kapitulację imperium japońskiego) informował, że premier Japonii Nobusuke Kishi „uważał, że dla Japonii posiadanie broni jądrowej jest niezbędne”. Podobnie uważał też jego następca Hayato Ikeda, który chciał nabyć od USA ładunki nuklearne (nie jest do końca jasne, czy chodziło o pełną nad nimi kontrolę czy też o którąś z form nuclear sharing). Lata 50. to również rozwijanie przez Japonię planów dotyczących chociażby struktur i zdolności, które znuklearyzowana Japonia mogłaby posiadać; przykładowo, stworzony został plan rozbudowy zdolności rakietowych, które posłużyć mogłyby do przenoszenia głowic jądrowych. W latach 60. przeprowadzano gry wojenne analizujące konsekwencje użycia przez Japonię zarówno strategicznej, jak i niestrategicznej broni jądrowej w wypadku wybuchu „drugiej wojny koreańskiej”, która następnie ewoluowałaby w duży konflikt pomiędzy USA a ZSRR; powstawały też analizy techniczne zdolności do produkcji materiału rozszczepialnego, zarówno uranu i plutonu, który miałby zostać wykorzystany do produkcji bomb jądrowych i najefektywniejszych ich nosicieli. Wnioski z raportu wskazywały, że Japonia mogłaby wyprodukować 200–300 bomb jądrowych, wykorzystując posiadany uran, a pluton pozyskiwany z japońskich reaktorów mógłby posłużyć do wyprodukowania kolejnych 20 głowic rocznie. Najefektywniejszym środkiem przenoszenia miały być rakiety rozmieszczone na okrętach podwodnych; wymienione zostały również instytucje naukowe, które mogłyby stać się częścią nakierowanego na produkcję broni przemysłu nuklearnego. Inne przeprowadzane w tym czasie badania sponsorowane przez rząd Japonii miały na celu określenie chociażby kosztów takiego programu; jedno z nich, zlecone przez ministra obrony narodowej Yasuhiro Nakasone – zadeklarowanego zwolennika opcji atomowej – wskazywało, że koszt w ciągu pięciu lat wyniosłby 200 miliardów jenów, czyli około 40% budżetu państwowego w roku 1970. Jeszcze inne badania zlecone w tym okresie pokazały, że stworzenie „niewielkiej liczby ładunków nuklearnych jest możliwe i raczej łatwe”. Podkreślano jednak jednocześnie, że koszty polityczne, finansowe i technologiczne są zbyt wysokie, a w związku z tym Japonia powinna dalej polegać na amerykańskim parasolu nuklearnym. Stanowisko to jest całkowicie zbieżne ze strategią „hedgingu ubezpieczeniowego” i tak klasyfikowane jest przez Narangę, choć być może można rozważać, czy fakt badań nad opracowaniem środków przenoszenia broni jądrowej i skutków jej potencjalnego użycia nie zbliżał Tokio do definicji „twardego hedgingu”.

Wskazuje na to również fakt, że chociaż Japonia dołączyła do Traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT) w roku 1970 (ratyfikując go w 1976), zapewniła sobie jednak prawo do samodzielnej kontroli nad cyklem paliwowa jądrowego, wykorzystywanego w jej elektrowniach jądrowych, gwarantując sobie tym samym dostęp do zdolności pozwalających na pozyskiwanie materiału rozszczepialnego, który mógłby zostać użyty do produkcji broni. Narang uważa, że „Japonia nie tylko odrzuciła ograniczenia technologiczne NPT, ale uważała też, że jego zapisy są trwałe, a więc nie ograniczą jej zdolności do nuklearyzacji, jeżeli okaże się to potrzebne”. Japonia „wywalczyła” sobie to prawo nie dzięki sympatii Amerykanów czy lojalności wobec nich, ale właśnie

dzięki narzędziu nacisku politycznego, jakim były i dalej są uśpione zdolności nuklearne.

Japonia posiada obecnie około 48 ton reprocessowanego plutonu, co, biorąc pod uwagę, że masa pojedynczego „rdzenia” broni jądrowej opartej na plutonie wynosi kilka kilogramów, daje jej zdolność do produkcji tysięcy głowic jądrowych. Japonia jest jedynym państwem nie posiadającym broni jądrowej, które takie zdolności posiada – chociaż podobne ambicje przejawia też Korea Południowa oraz Arabia Saudyjska, co samo w sobie stanowi przykład hedgowania przez Seul i Rijad. Ponadto, Tokio dysponuje zaawansowaną wiedzą i zdolnościami w zakresie rakiet, które wykorzystywane są w japońskim programie kosmicznym – ale równie dobrze mogą być użyte do przenoszenia ładunków nuklearnych.

W każdym razie faktyczna polityka Tokio, ewidentnie różna od symbolicznego stanowiska, wobec broni jądrowej, na którą składa się zupełnie jawne utrzymywanie latentnych zdolności do wyprodukowania broni jądrowej, ma na celu „otwarte i przejrzyste stworzenie lewara na Amerykanów, który może zostać użyty w celu upewnienia się, że amerykańskie rozszerzone odstraszanie” jest na tyle wiarygodne i silne, że spełnia oczekiwania Tokio. Japonia ma wręcz „grać kartą jądrową regularnie” i traktować ją jako subtelny, acz czytelny gróźbę, kierowaną w stronę Waszyngtonu. Co więcej, zdaniem Naranga „z powodu powątpiewań w amerykańskie gwarancje rozszerzonego odstraszania – oraz niezaspokojonego pragnienia sojuszników USA ich wzmocnienia – japońscy przywódcy niemal zawsze kwestionowali wiarygodność amerykańskiego parasola nuklearnego”. Stworzenie latentnych zdolności sprawia, że groźba nuklearyzacji nie jest jedynie pustosłowiem, ale całkowicie realną możliwością, o ile Tokio dojdzie do przekonania, że gwarancje USA nie zaspokajają jego zapotrzebowania na bezpieczeństwo. Co zupełnie przewidywalne, dyskusja na temat wiarygodności gwarancji bezpieczeństwa USA – a co za tym idzie, zasadności zdobycia własnej broni jądrowej – odżywa w Japonii za każdym razem, gdy pogorszeniu ulega sytuacja bezpieczeństwa w jej sąsiedztwie. Richard J. Samuels i James L. Schoff zauważają, że działo się tak „za każdym razem, gdy dochodziło do zmiany sytuacji bezpieczeństwa: po teście nuklearnym Chin w 1964 roku, po końcu zimnej wojny, po północnokoreańskiej nuklearyzacji w latach 2000., po podpisaniu przez Rosję i USA traktatu New START. Za każdym razem Tokio analizowało swoją pozycję [w odniesieniu do broni jądrowej – przyp. A.Ś.], sygnalizując następnie Stanom swoją potrzebę wzmocnienia wiarygodności rozszerzonego odstraszania”. Wreszcie, podobną logikę zaprezentował w 1976 roku ówczesny dyrektor planowania japońskiego MON-u Takuya Kubo, który stwierdził, że „jeżeli zdolność Japonii do pokojowego wykorzystania energii jądrowej zwiększą się i zbliży ona do momentu, w którym będzie mogła w każdej chwili wyprodukować znaczny arsenał nuklearny (co prawdopodobnie ma miejsce obecnie), USA będą chciały utrzymać gwarancje nuklearne wobec Japonii w obawie przed pogłębiającą się niestabilnością w stosunkach międzynarodowych w związku z proliferacją broni jądrowej”. Kubo mógł sobie na taką szczerość pozwolić, jego tekst został bowiem opublikowany pod pseudonimem – chociaż z pewnością ci, którzy powinni znać personalia autora, znali je.

W tych i w innych momentach japońskie elity polityczne nie wahają się przypominać światu o posiadanych przez nie alternatywach dla polegania na Amerykanach możliwościach; w 2002 roku mówił o tym Shinzō Abe, ówczesny zastępca szefa gabinetu premiera Jun'ichirō Koizumi, który stwierdził, że „oficjalne stanowisko rządu Japonii jest takie, że posiadanie broni jądrowej niekoniecznie stanowić musi złamanie konstytucji”; nawet po awarii elektrowni jądrowej w Fukushima były szef japońskiego MON-u Ishiba Shigeru (a obecny przywódca tego państwa!) stwierdził, że zamknięcie japońskich elektrowni nuklearnych byłoby błędem, choć bowiem nie uważa on, że „Japonia potrzebuje broni jądrowej, to działanie komercyjnych reaktorów umożliwia szybkie wyprodukowanie głowic nuklearnych”. Jak szybkie? Sam Shigeru mówił o okresie „od paru miesięcy do roku”; otwarte pozostaje pytanie o to, czy chodzi tu wyłącznie o niezminiaturyzowaną głowicę, która musiałaby przecież zostać „umocniona” tak, aby była w stanie zostać dostarczona nad cel przez pociski rakietowe, a jej twórcy mieli pewność, że zadziała tak, jak powinna? Do tego istnieją jeszcze kwestie w rodzaju łańcucha dowodzenia, zabezpieczeń pozytywnych i negatywnych (gwarantujących, że głowica zadziała, kiedy jej właściciele będą chcieli, oraz nie zadziała bez ich woli i zgody), kwestie związane z namierzaniem celów itp.; można sobie wyobrazić, że niektóre z tych problemów zostały już przez Japończyków rozwiązane na potrzeby uderzeń konwencjonalnych, trudno jednak stwierdzić, czy wszystkie. Wreszcie, słowa Ishigeru padły w 2012 roku: od tamtego czasu sytuacja bezpieczeństwa w regionie Indopacyfiku uległa znacznemu pogorszeniu, zasadne wydaje się więc podejrzenie, że pomni tego Japończycy jeszcze doszlifowali swoje ukryte zdolności.

Czy fakt, że Japonia jest absolutnie kluczowym, najbardziej kompetentnym i najpotężniejszym militarnie i ekonomicznie sojusznikiem USA w regionie, mitygował poczucie zagrożenia, a tym samym presję proliferacji odczuwaną przez japońskie elity? Zauważmy: „seryjnie” domagająca się od USA uwiarygodnienia gwarancji bezpieczeństwa, „seryjnie” dowody te otrzymywała. Pouczający jest przykład reakcji Tokio na ogłoszenie przez Nixona doktryny Guam oraz to, jak różna była „strategia komunikacyjna” Ameryki wobec Japonii od tej, jaką Waszyngton przyjął wobec Korei Południowej.

W przeciwieństwie do tego, jak USA postępowały wobec administracji Parka, dość transparentnie komunikowały one swoje zamiary Tokio. Przykładowo, amerykańskie władze wyjaśniły, co dokładnie oznacza implementacja doktryny Nixona, informując chociażby, że zamierzają utrzymać w Japonii zdolności, pozwalające na udzielenie kryzysowego wsparcia powietrznego Korei Południowej, oraz dotychczasowe miejsce stacjonowania VII Floty US Navy (Yokosuka) i zasoby umożliwiające pozyskiwanie informacji wywiadowczych dotyczących KRLD, ChRL oraz

ZSRR. Innymi słowy – Japończycy wiedzieli, na czym stoją.

Dlaczego? Przede wszystkim z perspektywy Japonii zagrożenie agresją rywala nie było tak bezpośrednie, jak w wypadku Korei Południowej; Chiny nie stanowiły wówczas bezpośredniego zagrożenia (poza tym Japonia zdawała sobie sprawę z podejmowanych przez USA prób doprowadzenia do odprężenia z ChRL). Po drugie, USA, które dokładały wszelkich starań, aby uspokoić przywództwo polityczne Tokio w osobie premiera tego państwa Eisaku Satō, zniwelowały u Japończyków obawę przed porzuceniem. To było zresztą w interesie samych Amerykanów. W kolektywnej pamięci Amerykanów wciąż żywa pozostawała pamięć II wojny światowej – a wraz z nią obawa przed remilitaryzacją Japonii, zwłaszcza przed możliwym pozyskaniem przez nią broni jądrowej. Obawy te były obecne w komentarzach części urzędników administracji Nixona (by wspomnieć tylko o członku Rady Bezpieczeństwa Narodowego Winstonie Lordzie) oraz analizach przygotowanych przez Departament Obrony, podkreślających, że obawiający się porzucenia Japończycy mogą zmienić swoje pacyfistyczne usposobienie. Innymi słowy, Amerykanie obawiali się, że z dostępnego menu działań Japończycy mogą wybrać autonomizację zdolności. Zresztą gdzieś w tle rozmów amerykańsko-japońskich, które miały miejsce po ogłoszeniu doktryny Guam, pojawiła się również broń jądrowa; część przynajmniej japońskiego establishmentu politycznego, w tym chociażby Yasuhiro Nakasone, ówczesny dyrektor generalny Japońskiej Agencji Obronnej (bo tak właśnie w tamtych czasach dla niepoznaki nazywało się japońskie ministerstwo obrony narodowej), chciała ją pozyskać.

W ramach ciekawostki dodajmy, że Fintan Hoey twierdzi, iż pomimo ogólnej zgody co do potrzeby powstrzymania ewentualnej remilitaryzacji Japonii pomiędzy Departamentem Stanu a Kissingerem zarysowały się różnice co do tego, jak tym ryzykiem zarządzać. Podczas gdy urzędnicy Departamentu Stanu sugerowali, że właściwą drogą będzie załagodzenie obaw Tokio poprzez zapewnienia i podkreślenie dalszego obowiązywania gwarancji bezpieczeństwa, Kissinger był zdania, że Stany powinny dążyć do osiągnięcia równowagi pomiędzy mocarstwami w regionie Azji Wschodniej (jakże symptomatycznie!).

Co więcej, w interesie Japonii było również odzyskanie pełnej kontroli nad Okinawą, która wraz z szeregiem innych wysp archipelagu Riukiu znajdowała się pod kontrolą Stanów Zjednoczonych (ostatecznie Okinawa i pozostałe wyspy zostały przekazane pod kontrolę Tokio w 1972 roku). Z drugiej strony, zgodę na zwrot Okinawy Waszyngton warunkował zaakceptowaniem przez Tokio dalszej obecności sił USA na tej wyspie oraz, szerzej, roli odgrywanej przez Stany Zjednoczone w zapewnianiu Japonii bezpieczeństwa. Zachodziło tu więc pozytywne sprzężenie zwrotne; cele polityczne Japonii (odzyskanie kontroli nad Okinawą) skutkowały równoległym kotwiczeniem obecności Stanów w tym państwie.

Rzecz jasna, mimo że interesy Waszyngtonu i Tokio w zasadniczym stopniu były zbieżne, uwadze Amerykanów nie umknął fakt, że konsekwencją zmiany dynamiki tej konkretnej relacji sojuszniczej może być zmniejszenie zdolności wywierania przez USA presji na Tokio, a co za tym idzie, większa autonomiczność Japonii w polityce zagranicznej. Amerykański wywiad w notatce do Kissingera, datowanej na czerwiec 1970 roku, pisał, że „japoński rząd będzie skory do zademonstrowania zarówno własnemu elektoratowi, jak i innym państwom azjatyckim, że jego polityka jest niezależna od Waszyngtonu”. A w relacjach pomiędzy państwami nie chodzi przecież o wspólnotę wartości czy przyjaźń, ale o to, aby posiadać jak największy wpływ, minimalizując jednocześnie ryzyko dla siebie. W idealnym świecie Japonia życzyłaby sobie, aby Waszyngton udzielał jej gwarancji, nie oczekując nic w zamian i nie ograniczając jej pola manewru; analogicznie, Amerykanie chcieliby, aby Japonia stała się ich „zderzakiem”, jednocześnie nie ryzykując, że zostaną wciągnięci w wojny służące bardziej interesowi Japonii niż ich własnemu. Dlatego też, komentując rosnące zdolności militarne Japonii – o które przecież Ameryka zabiegała – Kissinger zauważył, że „przyjmą one prawdopodobnie formę mniej przydatną dla nas, niż byśmy sobie tego życzyli”.

Można pokusić się o tezę, że w relacjach USA i Japonii istnieje pozytywne sprzężenie zwrotne; ponieważ Japonia posiada znaczące zdolności konwencjonalne, a do tego „dokręcając kilka śrubek”, może stać się bardzo szybko potęgą nuklearną, może spokojniej przyglądać się działaniom USA (wiedząc, że posiada alternatywę wobec sojuszu z USA), a jednocześnie żądać od nich uwiarygodnienia gwarancji bezpieczeństwa. Z kolei, abstrahując od niechęci do proliferacji, kompetencje strategiczne Tokio czynią z Japonii pożądanego, niezbędnego, być może, partnera USA w regionie – co z kolei ułatwia Waszyngtonowi podejmowanie działań mających na celu uwiarygodnienie się przed Japończykami.